



GAZETA STUDENCKA

RANO brr.... 15°C

W POŁUDNIE GRR.... 25°C



OD NACZELNEJ



Cześć!

Witam Was w nowym roku akademickim. Choć pewnie większość oswoiła się już na nowo ze studentckim życiem, cześć studentów potrzebuje do tego więcej czasu ;) Nowy rok akademicki to nowe możliwości i wyzwania. Posługując się stwierdzeniem, że studia to najlepszy czas w życiu, pomyślcie sobie pewnie „jakie ona gada głupoty”. Jak każdemu z nas czasem zdarza mi się powiedzieć coś niezbyt mądrego, jednak używając tych słów jestem święcie przekonana co do ich słuszności. Na własnej osobie przekonałam się i w sumie dalej przekonuję, bo przede mną ostatni rok studiowania, że warto ten czas wykorzystać jak najlepiej tylko się da. Studia studiami, ale fajnie rozwijać swoje pasje m.in. w kołach naukowych, których na naszej uczelni jest bez liku. Można też dołączyć do mediów studentek i razem z nimi tworzyć świetne rzeczy np. na koncertach być blisko gwiazd, które „zwykli” studenci mogą oglądać tylko zza barierki. Wtedy po pięciu latach otrzymując tytuł magistra, nie

tylko będziecie pamiętali wykładowców, którzy dużo wymagali, egzaminy, które poprawialiście trzy razy, ale będziecie mieli za sobą niesamowitą przygodę. Coś czego nikt Wam nie odbierze – cudowne wspomnienia. Wykorzystajcie dobrze ten czas, a daję Wam słowo, że w przyszłości to zaowocuje.

W październiku mieliście już okazję zapoznać się z naszym Starterem 2.0, teraz pora w skrócie przedstawić październikowy numer. Jak zwykle mamy dla Was felietony, recenzje filmów i wywiady. Nasza redakcyjna koleżanka Monika wybrała się w tym roku na Woodstock i postanowiła podzielić się z Wami swoimi przemyśleniami na temat tego wydarzenia. Przygotowaliśmy też tekst o uzależnieniu...od jazdy rowerem ;)

Mam nadzieję, że ten numer przypadnie Wam do gustu i jak zawsze będziecie wiernie nas czytać.

Asia Gerlich

redaktor naczelna GS

GS LUBI TO

MAREK WIENCH

Kurtuazja. Alienacja płci w trudnej sytuacji nie może zrodzić niczego dobrego. „Na pokuszenie” to obraz dramatycznego podejścia do wielu spraw w relacjach damsko-męskich. A turystycznie to przeszedłem z Forstem całą tetralogię Remigiusza Mroza - i, mimo że ostatecznych finałów było sporo, to koniec końców historia ciągnie się dalej. I ma się ochotę na więcej.

WERONIKA ROLNIK

Robiąc wakacyjne porządki odkryłam na nowo „Farat” Anny Marii Jopek. I spędziłam z nią całe wakacje. Mój ukochany kawalek „Dłoń zanurzasz we śnie” (tekst: Bolesław Leśmian) z solówką Marka Napiórkowskiego to jedne wielkie ciary na plecach. Tak samo jak „Cyranecka”, w której wirtuozeria popisuje się Leszek Możdżer. Jedno tylko „Ale jestem” lepiej brzmi moim zdaniem w wersji pierwotnej. Poza tym „Drach” jest jedną z najlepszych książek, jakie kiedykolwiek przeczytałam, a „Child of Light” smakowało gorzko-słodko, bo przypomniało, jak piękne były klasyczne JRPG i że nigdy już nie wrócą.

ŁUKASZ WALKOWIAK

„Gdzie byliście gdy zapadła ciemność?” pyta w tytule swojej powieści Mario Leviego. Pisząc krótko: jest to rys studentckiego Stambułu lat siedemdziesiątych, we wspomnieniach ustatkowanego obecnie rewolucjonisty. Opowieść o marzeniu zmiany konserwatywnego kraju w świat pełen społecznej sprawiedliwości. Opowieść o marzeniu nigdy nie spełnionym.

KAROLINA BIEDKA

Wdzięk, zabójcze zauroczenie i odrobina magii to zdecydowanie zły przepis na udany związek. Taki wniosek nasuwa mi się po po seansie „The Love Witch” - filmu opowiadającego o pewnej femme fatale, która desperacko poszukuje miłości i „prawdziwego mężczyzny”. Niektórym widzom produkcja ta może wydać się mało dynamiczna i przewidywalna, jednak świetnie oddany klimat lat 60. i 70., fascynacja środowiskiem Wicca w tle a także piękno aktorki grającej wiedźmę Elaine, rekompensują braki w fabule. Efekty i stylizacja filmu na pewno ucieszą niejednego estety.

MONIKA SOB CZAK

„Rachatlukum” to autobiograficzna powieść autorstwa Jana Wolkera, opowiadająca o fascynacji młodego rzeźbiarza rudowłosą pięknoscią, Olgą. Bohaterowie poznają się w dość dziwnych okolicznościach i od razu się w sobie zakochują. Sielanka nie trwa jednak długo. Wyrachowana matka dziewczyny ma wobec niej inne plany... „Rachatlukum” na początku wydaje się być historią miłosną jakich wiele, do poczytania w długie letnie wieczory na tarasie. Dopiero z czasem czytelnik odkrywa jaki tragizm niesie za sobą ta opowieść, zmuszając jednocześnie do refleksji nad mechanizmami kierującymi gnijącym społeczeństwem.

PAŹDZIERNIK 2017 SPIS TREŚCI

02 OD NACZELNEJ

GS LUBI TO

03

POKAŻ SIĘ

04/05

MUZYKĘ MA WE KRWI- WYWIAD

06/07

NAS TO KRĘCI

08/09

BIBLIOTEKOWY PRZEWODNIK

10/ 11

WYWIAD Z CHILII

12/

PRZYSTANEK WOODSTOCK

13/

PUBLICYSTYKA

14/

MĘSKIM OKIEM O FILMIE

15/

RECENZJA

16/

FELIETON

REDAKCJA



NUMER 01/

PAŹDZIERNIK2017

ROK AKADEMICKI 2017/18

REDAKTOR NACZELNA: Asia Gerlich

WICEREDAKTOR NACZELNA: Natalia Worek

SKŁAD/ŁAMANIE TEKSTU: Asia Gerlich

AUTOR GRAFIKI NA OKŁADCE: Małgorzata Łabędź

REDAKTORZY NUMERU: Ania Kędra, Malwina Maier, Elena Stepaniuk, Wiktoria Surówka, Monika Sobczak, Karolina Biedka, Dawid Machecki, Marek Wiench, Jakub Filipkowski, Bartłomiej Chereźniak, Jakub Słaby, Michał Perlik, Łukasz Walkowiak

KOREKTA: Weronika Rolnik, Kinga Opolony, Justyna Łęcka,

KONTAKT

www.gs.uni.opole.pl

gazetastudenckaUO@gmail.com

Instagram /gazetastudencka

Facebook /gazetastudenckaUO

WYDAWCA



Uniwersytet Opolski

pl. Kopernika 11a

45 - 040 Opole

POKAŻ SIĘ W STUDENCKIEJ

MAŁGORZATA ŁABĘDŹ

II SUM, KOMUNIKACJA WIZUALNA, EDUKACJA ARTYSTYCZNA W ZAKRESIE SZTUK PLASTYCZNYCH



Gosia zajmuje się grafiką komputerową, tworzy ilustracje oraz projekty graficzne (banery, wizytówki, katalogi, plakaty). Drukuje na wszystkim, na czym się da – papierze, materiale, metalu, skórze (tak! wykonuje również tatuaże). Oprócz sztuki pasjonuje się górami oraz fotografią. Na swoich pracach bardzo często komentuje sytuacje, które ją otaczają i są podstawą powstających

dzieł. W ilustracjach można zauważyć głównie jej własny wizerunek, ale wielokrotnie pojawiają się również motywy zwierząt, grzybów, roślin. Motyw przyrody znalazł się również w jej pracy dyplomowej, gdzie prace z grafiki warsztatowej przedstawiały dzień i noc polarną. Ta tematyka to następstwo pobytu na Islandii, która oczarowała autorkę naszej okładki. – Poza tym, mega podziwiam hiperrealizm, ale na podziwie się kończy, bo to jednak nie moja bajka. – Małgorzata ukończyła już studia licencjackie, obecnie robi magisterkę z projektowania graficznego, ale myśli o związaniu się z uczelnią na dłużej. – Planuję pójść dalej i zrobić doktorat. Nie wystarczy sama wiedza i osiągnięcia. To ciągłe doskonalenie się. Nie da się obronić magistra i nagle przestać rysować, malować i pro-



jektować. Trzeba robić to cały czas, bo wychodzi się z praktyki.

Rysujesz, piszesz wiersze, a może tańczysz? Potrafisz stać na głowie, szyjesz lub śpiewasz? Nieważne co robisz, jeśli masz jakiś talent to

POKAŻ SIĘ W STUDENCKIEJ

Napisz maila na adres gazetastudenckaUO@gmail.com lub wiadomość na naszego facebooka [GazetaStudenckaUO](https://www.facebook.com/GazetaStudenckaUO/), a my skontaktujemy się z Tobą i pokażemy Cię właśnie na tej stronie :)



fot. archiwum prywatne

MUZYKĘ MA WE KRWI

MARCIN WOLNIAK

Na swoim konczie ma dziesiątki wywiadów z gwiazdami polskiej estrady, wiele nagród ogólnopolskich festiwali, zaś jego utwór „Dance with me” miał wziąć udział w eliminacjach do konkursu Eurowizji! Poznajcie Marcina Wolniaka, studenta drugiego roku Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej na Uniwersytecie Opolskim.

Masz bardzo bujne życie - muzyka, śpiew, praca w radiu, na dodatek studia. Jak znajdujesz na to wszystko czas?

Nie wiem, czy mam bujne życie. Rzeczywiście, próbuję pogodzić wiele rzeczy naraz, co często nie jest łatwe, ponieważ doba ma tylko 24 godziny. Śpiew i muzyka zawsze były moją wielką pasją, zarówno występowanie, ale i tworzenie. Długo się uczyłem technik wokalnych u różnych uznanych nauczycieli w Polsce, więc myślę, że coś tam potrafię. Nie ma to oczywiście nic wspólnego z robieniem kariery wokalne, to już inna bajka i nie wiem czy jeszcze bym chciał próbować teraz. Od jakiegoś czasu skupiam się na tworzeniu muzyki z myślą o konkretnym wykonawcy. Wciągnęło mnie też radio, od ponad 3 lat jestem związany z Polskim Radiem Londyn, robię dla nich różne materiały: wywiady,

relacje, komentarze itd. Studia są tego konsekwencją. Zawsze chciałem studiować dziennikarstwo, ale inne plany wygrywały z tym pomysłem wcześniej.

Zacznijmy od muzyki - od kiedy zacząłeś śpiewać?

Mając 7 lat zacząłem pobierać lekcje wokalne w wieluńskim domu kultury. Wtedy też był mój pierwszy publiczny występ – na wieluńskim rynku zaśpiewałem w konkursie radiowym organizowanym przez lokalną rozgłośnię. Była to „Ta sama chwila” Bajmu. Jakoś nigdy nie chciałem i nie lubiłem śpiewać piosenek pisanych stricte dla dzieci.

Czym dla Ciebie jest muzyka?

Pasją, sposobem na wyrażanie swoich emocji, bywa najlepszą rozrywką. Muzyka to nie jest jednak moja największa miłość, na równi stawiam też kino, które wielbię i czasami mam ochotę po prostu zamknąć się na tydzień-dwa w sali kinowej i oglądać filmy jeden po drugim.

Jesteś laureatem wielu ogólnopolskich festiwali. Jak się z tym czujesz?

Zawsze dobrze jest być laureatem czegośkolwiek (śmiech).

W 2012 roku miałaś wystąpić w eliminacjach do konkursu Eurowizji z piosenką „Dance with me”. Co się stało że się nie udało? Jaki to na Ciebie miało wpływ?

Nie miało żadnego wpływu. Rzeczywiście, napisałem w 2012 roku piosenkę „Dance with me” wraz z wrocławskim producentem, Konradem Leszczyńskim. Utwór był gotowy, wyprodukowany, mieliśmy pomysł, żeby zgłosić to do polskich eliminacji. Zaczęto go nawet grać lokalne Radio Traffic z Wrocławia, piosenka często pojawiała się we wrocławskich klubach na imprezach. Niestety w 2012 TVP zrezygnowała z uczestnictwa w Konkursie Eurowizji, nie było więc także Krajowych Eliminacji. Z Konradem stworzyliśmy jeszcze „Secret Zone” z moim wokalem, wydaną przez wytwórnię My Music. Piosenka doczekała się przeróbek i remixów klubowych i całkiem dobrze sobie poradziła. Pracowaliśmy także z Konradem przy „Warszawskim śnie”, „Les Roses Noires” i „Girl from Warsaw streets”, które dla Universalu wydał znany Mam Talent Madox. „Warszawski sen” nadal pojawia się na antenie chociażby RMF Maxx.



Oprócz śpiewania zajmujesz się także komponowaniem piosenek. Współpracujesz chociażby z Honoratą Skarbek, komponując muzykę i słowa do jej piosenek. Ciężko ułożyć dobrą piosenkę?

Odpowiem jak napiszę dobrą (śmiech). Mówiąc serio, tworzenie piosenek rodzi się z weny i dylematów. Najczęściej u mnie bierze się ona gdy jestem niewyspany, zmęczony, albo smutny – mam wtedy mnóstwo pomysłów na melodie i słowa, same przychodzą do głowy. Dylemat jest zazwyczaj taki, czy tworzyć coś, czego sam lubisz słuchać, co ci w duszy gra, czy może jednak lepiej „pod publiczność”, żeby się spodobało, żeby sprzedać itd. Mam wrażenie że jeszcze nieraz będzie mnie to dotykało, że utwór, który stworzę, finalnie będzie miał zupełnie inny charakter po przeróbkach i decyzjach, zwłaszcza wytwórni fonograficznych. Pytałeś



o Honoratę – zrobiliśmy razem numer świąteczny „Święta cały rok”, pozytywna, miła dla ucha, łatwa, popowa piosenka, którą bardzo lubię. Powstała w autobusie, na drodze powrotnej z Wielunia do Opola w lipcowy, bardzo upalny dzień. Śmiać mi się chce, jak próbowałem układać słowa o tym, że pada śnieg, choinka, mróz na dworze itd. Teraz napisałem utwór na kolejny solowy album Honoraty. Mam nadzieję, że będzie jednym z singli, bo mam duży sentyment do tej piosenki.

Obecnie pracujesz w Polskim Radiu Londyn. Wciąż masz styczność z gwiazdami polskiej estrady, m.in poprzez wywiady. Jacy są tak poza sceną?

Mam styczność z „gwiazdami” podczas przeprowadzania wywiadów. Wcześniej miałem styczność podczas moich różnych wokalnych przygód. Poza sceną są całkiem zwyczajni, wiesz jak to w życiu – jedni są mądrzy, drudzy głupi, jedni zdolni, drudzy mniej, jedni piękni, drudzy zupełnie przeciwnie, jedni próżni, drudzy skromni, itede itepe.

Towarzyszy Ci stres? Czy raczej rozmowy odbywają się na towarzyskim luzie?

Stres ostatnio towarzyszy mi jedynie podczas niektórych zajęć na uczelni.

W tamtym roku zacząłeś studiować Dziennikarstwo i komunikację społeczną na Uniwersytecie Opolskim. Co tak doświadczonego dziennikarza skłoniło do takiego posunięcia?

Nie jestem doświadczonego dziennikarzem, mam poczucie, że to dopiero początek mojej przygody z tym zawodem. Postanowiłem wrócić do studiowania, ponieważ ważne jest dla mnie, żeby mieć podstawy do tego zawodu, mieć jakąś bazę, z której można czerpać. Mam wrażenie (zwłaszcza oglądając niektóre programy informacyjne ostatnio), że dziennikarzem może być dziś każdy – wystarczy mieć kamerę lub mikrofon. Niestety, bardzo często nie wiąże się to z jakością dziennikarstwa. A już zadawanie durnych pytań ludziom, o których się nie ma pojęcia, drażni mnie totalnie. Podczas tegorocznego festiwalu w Opolu zrobiłem kilkanaście wywiadów z gwiazdami i większość z nich dziękowała mi, że się przygotowałem do rozmowy. Było to dla mnie zaskoczenie, ale może przywykli do tego, że zamiast pytań o płytę, piosenkę, dostają zazwyczaj pytania o psa, kochanka, babcię czy sąsiada. To jest słabe.

Angażujesz się w jakąś działalność studencką? Mam tu na myśli chociażby radio, telewizję czy prasę.

Bardzo bym chciał. Szczególnie radio, które powoli staje się moją wielką miłością. W ubiegłym roku świadomie nie zaangażowałem się w studencką radiostację, wiedząc, jak trudne będzie pogodzenie dodatkowych obowiązków z tym, co mam do tej pory. Podglądałem i podsłuchiwałem pracę moich uczelnianych kolegów i muszę przyznać, że kilkoro z nich ma zadatki na świetnych radiowców. Fajnie by było wspierać się nawzajem i dopingować. To na pewno nie jest łatwy zawód i trzeba to po prostu kochać.

TEKST: MICHAŁ PERLIK



fot. Wiktoria Surówka

NAS TO KRĘCI!

Wiecie, kim jest Karl Dreis? Mało kto o nim słyszał, ale to właśnie on równo 200 lat temu pokonał swoim wynalazkiem 8 kilometrów. Maszyna ważyła ponad 20 kilogramów, a podróż została uznana za narodziny tego wehikułu. O czym mowa? Oczywiście o rowerze! Dzisiejsze jednoślady różnią się od pierwszej wersji, jednak podstawa jest niezmienna: dwa koła i napędzanie nogami. Co jest takiego fascynującego w jeździe rowerem? Sprawdźmy!

W naszej redakcji jest kilku rowerowych freaków: Wiktoria, która zajmuje się zdjęciami, Marek, który głównie kojarzony jest z felietonami sportowymi i ja. I choć wiele rowerowych kwestii nas dzieli, łączy nas to, co najważniejsze, czyli rower.

Najważniejsze są początki

Mój pierwszy rower dostałam od wujka. Jeszcze dzisiaj pamiętam moją ogromną radość na widok tego różowego cuda. Miałam wtedy może z cztery lata i byłam przeszczęśliwa – wreszcie coś swojego. Wcześniej jeździłam na rowerze brata, ale to już wiem tylko z opowiadań rodziców. Wiktoria swoją przygodę z dwoma, choć w tym przypadku raczej trzema kółkami, zaczęła jeszcze wcześniej. Mój pierwszy rower, a raczej rowerek, został uwieczniony na zdjęciu i tylko dzięki temu wiem, jak wyglądał. Moja pamięć tego nie zarejestrowała – miałam wtedy zaledwie 2 latka! Rowerek był trzykołowy i czerwony. W pamięci utkwiał mi mój drugi rower – fioletowy z naklejoną wiewiórką i koralikami na szprychach, to na nim uczyłam się jeździć na dwóch kółkach. Marek też zaczynał jeździć na trójkołowcu i ma go dzisiaj w swoim garażu. Dla kilkulatek to było чудо, w sumie to dalej jest. Niebieska rama, czerwone

siodełko – plastikowe i niewygodne, ale kogo to wtedy obchodziło. Lekko zakrzywiona kierownica powodowała, że jadąc na nim czuło się, że jest się prawdziwym rajdowcem i królem szos – nieważne, że często szos domowego korytarza.

Jak widzicie, kręciło nas od małego.

Samemu czy w parze?

Na początku przygody z rowerem bacznie pilnują nas rodzice i dziadkowie. Nie chcą, żebyśmy sobie zrobili krzywdę wsiadając na coraz większe kółka, choć wiadomo, że siniaki i poobijane kolana są nieuniknione. Po czasie jednak nasi opiekunowie dostrzegają, że coraz lepiej sobie radzimy i możemy np. jechać rowerem do pobliskiego sklepu. Kiedy dostałam rower na pierwszą komunię, dużo jeździłam z tatą po okolicach i nabijaliśmy kilometry. Wiadomo, że z dzisiejszej perspektywy nie było to nic wielkiego, ale wtedy to było coś. Najczęściej wybieraliśmy się gdzieś w niedzielę. Mieszkam w dosyć malowniczych rejonach, bogatych w ścieżki rowerowe, więc można było bezpiecznie jeździć. To właśnie wtedy przyzwyczaiałam się do jazdy z kimś i taką preferuję do dzisiaj. Zazwyczaj jeżdżę na rowerze z przyjaciółką. To jest czas tylko dla

nas, w dodatku spędzony aktywnie. Mamy podobne tempo i żadna nie musi dostosowywać się do drugiej. Po prostu jedziemy. Rower bywa dla mnie lekarstwem na całe zło. Czasem są momenty, kiedy muszę pomyśleć o czymś ważnym i wiem, że duszenie się w czterech ścianach mi nie pomoże. Wtedy najlepsza jest rowerowa terapia. Jeśli chodzi o Marka, to nie ma za bardzo porównania, czy woli jeździć sam, czy z kimś, ponieważ większość tras pokonuje samotnie. Lubię jeździć i nie przeszkadza mi to, że nie mam się do kogo odezwać, choć niejednokrotnie marzyłem, aby jeździć z kimś u boku. Niestety jak na razie nie udało się tego zrealizować, bo takiej osoby/osób nie spotkałem... Wiktoria jest zdecydowaną zwolenniczką jazdy w pojedynkę, bo – jak przyznaje – ta forma aktywności jest dla niej pewną formą oczyszczenia. Przez większość czasu śmigam solo. Nie lubię dostosowywać tempa do drugiej osoby i tracić siły na gadanie. Jeżdżenie na rowerze przynosi także katharsis umysłu, w ciszy i samotności lepiej mi się myśli.



fot. Wiktoria Surówka

Plany czy spontany?

Jesteśmy rozważni. Wiadomo, że lepiej planować, szczególnie długie trasy. Takie, które wymagają poświęcenia wysokich pokładów energii i czasu. Pojawia się jednak pytanie: co jest długą trasą? Dla kogoś może to być 100 km, a dla kogoś 15. Osobiście lubię spontaniczne wyjazdy, jeden telefon, 30 minut na przygotowanie się i w drogę. Często zdarza mi się ustalać cel rowerowej wycieczki dopiero w trakcie jej trwania. I gdy pogoda dopisuje, często docieram do niego pokrętnymi ścieżkami, bocznymi uliczkami i dłuższymi odcinkami. Wyjazdy, które planuję, to głównie te, które są trudniejsze, czytając: dużo podjazdów. Wtedy trzeba się odpowiednio do tego przygotować, sprawdzić prognozę pogody i w drogę. W życiu naszej fotoreporterki rower zakorzenił się na tyle mocno, że jeśli warunki pogodowe są sprzyjające to wsiada na niego i jedzie. Dla mnie odpowiednia pogoda to taka, kiedy nie pada i nie wieje zbyt mocno. Planuję jedynie dłuższe trasy, te 70-90-kilometrowe, wtedy muszę przygotować znacznie więcej wody i jedzenia oraz zabrać powerbanka. U Marka sytuacja jest bardziej skomplikowana. Na pytanie, czy woli planować swoje wyjazdy, czy jednak stawia na spontan, odpowiada: I TAK I TAK. Bierze się to z tego, że może i planuję, dokąd chcę się udać, w jakim kierunku jadę i mniej więcej przez jakie miejscowości, ale... bardzo często jest też ten „spontan”, bo nagle jadąc jakąś trasą, ścieżką np. w lesie pierwszy raz i mając wybór – gdzie teraz, gdzie skręcić... wybieram czasami drogę naokoło. Czynię to czasem specjalnie, ale gdy znajduję się na danej drodze pierwszy raz, to głównie jest to spowodowane tym, że nie mam pojęcia, gdzie jechać – zwłaszcza, gdy brak jakichkolwiek oznaczeń. Ale i to sprawia mi przyjemność. „Lubię się zgubić”.

Co zabrać ze sobą?

Skoro już wsiedliśmy na rower, musimy pamiętać o kilku ważnych rzeczach. Zawsze zabieram dużo wody i pełnowartościową przekąskę. Trasy, które zaliczam, zaczynają się od 30 km wzwyż, w tym czasie mój

organizm spala mnóstwo kalorii. Żeby dostarczyć mu energię, zazwyczaj jem owoce, ciastka zbożowe, albo batoniki, które mają cenny skład – np. te z daktylami albo z orzechami. Niejednokrotnie przekonałam się, że niezbędna może się okazać kurtka przeciwdeszczowa, zawsze powinna znaleźć się na dnie plecaka – radzi Wiktoria. Jeśli dłuższa trasa, to również coś na tzw. blackout, – gdy energia się kończy i już średnio widzisz na oczy. Cukier to energia, więc najczęściej tym „czymś” są słodkie (czekolady, batony etc.) – dodaje Marek. Także woda i coś słodkiego to podstawa. Do tej listy dopisałabym jeszcze empetrójkę, którą zawsze zabieram na samotne wyjazdy. Wiem, pewnie pomyślicie, że to nieodpowiedzialne – słuchawki w uszach, a potem są wypadki. Cóż, ja bez muzyki się nie ruszam (chyba że rozładuje mi się odtwarzacz), tak po prostu lepiej mi się jeździ.

Nie zawsze cel jest ważny

Rower to przede wszystkim spędzenie wolnego czasu w aktywny sposób. Uwielbiam ruch! Ale wszystko zależy od dnia i mojego nastawienia. Są dni, kiedy wyznaczam sobie za cel konkretną liczbę kilometrów, bardzo lubię testować swoje możliwości. Innego dnia skupiam się na jak najlepszym tempie. Są też dni, kiedy nie zwracam uwagi ani na dystans, ani na czas, po prostu cieszę się chwilą, podziwiam wspaniałe widoki, korzystam z darów natury – zrywam jabłka i czereśnie, które służą mi za przekąski – śmieje się Wiktoria. Dla Marka w czasie rowerowych wyjazdów najważniejszy jest... oddech. Oddech w sensie tej błogości, spokoju. Po dłuższej jeździe przychodzi zmęczenie, ale nawet mimo to jestem spokojniejszy i zrelaksowany. A dojeżdżając do jakiegoś magicznego miejsca – takich w okolicach nie brakuje – i zatrzymując się, mogę poczuć się... zdrowiej, po prostu lepiej. Cele też sobie wyznaczam – by pokonać jakąś bardziej wymagającą trasę, podjazd czy większy dystans. W końcu sportową rywalizację mam wpisaną w genach, jak nazwisko w dowodzie osobistym. Dla mnie, kiedy wsiadam na rower, najważniejsze jest poczucie wolności. Pokonywanie kolejnych kilometrów, walka z wiatrem i wzniesieniami, dają mi powera na co najmniej kilka dni. Skoro poradziłam sobie z naturą, to poradzę sobie również z wszystkimi obowiązkami, które wypełniają moje dni.



fot. Asia Gerlich

Trudno na dwóch stronach opisać coś, co może być pasją, sposobem na spędzenie wolnego czasu, odskocznią od problemów i szarej codzienności. Choć – tak jak podkreśliłam na początku – do wielu rowerowych kwestii mamy inne podejście, łączy nas uzależnienie od jednośladow. Pewnie wśród Was, czytających, znajdą się osoby, które doskonale rozumieją, o co nam chodzi. Wsiadam na rower, czuję wolność, oddycham, podziwiam, zachwyam się, poprawiam kondycję, zwiedzam, myślę, uwalniam się od problemów i wiem, że mogę wszystko. Po prostu żyję.

TEKST: ASIA GERLICH



fot. Dawid Machecki

BIBLIOTEKOWY PRZEWODNIK

Zastanawialiście się kiedyś, jak wyrobić kartę biblioteczną? A może nie jesteście pewni, z których bibliotek Uniwersytetu Opolskiego możecie korzystać? Co wiąże się z przetrzymaniem książki po terminie? I jakie możliwości daje internetowy katalog Aleph? W tym numerze prezentujemy Wam najważniejsze informacje o bibliotekach Uniwersytetu Opolskiego. Wiedza jest na wyciągnięcie ręki!

Biblioteka Główna UO

Biblioteka Główna Uniwersytetu Opolskiego jest największą biblioteką naukową w województwie Opolskim. Powstała 1 października 1951 roku, a wraz z powołaniem Uniwersytetu Opolskiego (marzec 1994r.) uzyskała status biblioteki uniwersyteckiej. Jej zbiory liczą ponad 900 000 woluminów książek, czasopism i wydań specjalnych. Biblioteka oferuje dostęp do książek i czasopism nie tylko w formie papierowej, ale i elektronicznej. Pomoc w wyszukiwaniu potrzebnych materiałów zapewnia biblioteczny system Aleph.

Oprócz Biblioteki Głównej, w skład sieci bibliotecznej Uniwersytetu Opolskiego wchodzi także jedenaście bibliotek specjalistycznych (wydziałowych, międzyinstytutowych), a książki dostępne w ich zbiorach odpowiadają kierunkom kształcenia na danych wydziałach.

Karta biblioteczna

Aktywacja karty zajmuje zaledwie kilka minut. Należy udać

się do wybranej biblioteki i okazać aktualną legitymację studencką. Założenie karty w danej bibliotece nie oznacza jednak, że można korzystać tylko ze zbiorów niej dostępnej. Karta obejmuje możliwość wypożyczania oraz korzystania z zasobów czytelni wszystkich bibliotek wchodzących w skład sieci bibliotek UO. Oznacza to tyle, iż student Wydziału Ekonomii może swobodnie korzystać z książek dostępnych np. w Międzyinstytuowej Bibliotece Politologii, Filozofii i Socjologii.

System ALEPH i e-mailowe przypomnijki

System Aleph (z którego możecie korzystać na stronie: www.aleph.uni.opole.pl) umożliwia wyszukiwanie i zamawianie książek przez Internet oraz kontrolowanie stanu konta bibliotecznego. Przy aktywnym korzystaniu ze zbiorów bibliotek UO warto co jakiś czas sprawdzić stan naszego konta, jego ważność, ewentualne zaległości (w przypadku przetrzymania książek), czy sam termin zwrotu woluminów. Bardzo pomocne w tym ostatnim przypadku, dla osób zapominalskich, są przesyłane na podany podczas rejestracji adres e-mail, przypomnienia o zbliżającym się terminie zwrotu wypożyczonych książek.



Zapraszamy do korzystania z wyszukiwarki **Primo**. W jednym okienku można przeszukiwać katalogi Biblioteki Głównej, książki elektroniczne i bazy danych.

Wyszukiwanie

Wpisz słowo lub frazę
 Pole do wyszukiwania: Wszystkie pola
 Słowa sąsiadujące? Nie Tak
 Baza do wyszukiwania: Katalog centralny
 Wyszukaj Wyczyść

Ogranicz wyszukiwanie do:

Formatu: wszystkie Języka: wszystkie Od roku:



Wyniki dla Wszystkie pola= dziennikarstwo; sortowanie wg roku, potem autora

Opcje sortowania: rok, potem aut aut, potem rok rok, potem tyt tyt, potem rok

Opcje formatowania: Autor-tytuł Tytuł-opis fizyczny Tytuł-autor Widok skrócony-tabela

Rekordy 1 - 10 z 536 (maksymalna ilość wyświetlonych i sortowanych rekordów to 1000)

Skocz do tekstu

Aby wybrać egzemplarz proszę kliknąć na bibliotekę.

#	Autor	Tytuł	Rol
1	Zaznacz <input type="checkbox"/> Bartosz, Julian	Demon zapomnienia : o dolnośląskich i wrocławskich dziennikarzach czasów "komuny" /	Warszawa : Agencja Wydawnicza Andrzej Zasieczny, 2016.
2	Zaznacz <input type="checkbox"/> Celiński, Paweł	Dziennikarka /	Warszawa : Instytut Pamięci Narodowej, 2016.
3	Zaznacz <input type="checkbox"/>	Lafit : ludzie "Kultury" o sobie /	Warszawa : Narodowe Centrum Kultury, 2016.

Przetrzymanie książki, prolongata i blokada

Limity wypożyczeń poza Bibliotekę oraz terminy zwrotu uzależnione są od statusu studenta. Przykładowo – studenci stacjonarni, niestacjonarni, uczestnicy studiów podyplomowych – 15 woluminów do trzech miesięcy, natomiast studenci studiów doktoranckich oraz doktoranci UO – 30 woluminów do trzech miesięcy. Nie sposób wymienić wszystkich, dlatego dokładniejsze dane znajdziecie w punkcie IV Regulaminu udostępniania zbiorów i świadczenia usług informacyjnych przez Bibliotekę Główną Uniwersytetu Opolskiego.

Istnieje możliwość **samodzielnego przedłużenia terminu zwrotu książki** (o miesiąc), o ile pozycja ta nie została zarezerwowana przez inną osobę, a konto czytelnika nie jest zablokowane. W przypadku pierwszego przedłużenia dokonuje się tego w systemie Aleph, po kliknięciu na tytuł pozycji, której termin oddania chcemy przesunąć. Drugą prolongatę przeprowadza bibliotekarz.

W przypadku zamówienia książki i nie odebrania jej w ciągu pięciu dni od daty złożenia następuje blokada konta czytelnika. Aby ją usunąć należy udać się do dowolnej wypożyczalni.

BIBLIOTEKI
UNIwersytetu
OPolskiego

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Ul. Strzelców Bytomskich 2
45-084 Opole, tel. 77 401 61 40

BIBLIOTEKI SPECJALISTYCZNE

- Międzywydziałowa Biblioteka Nauk Ścisłych**
ul. Oleska 48, 45-052 Opole
- Biblioteka Wydziału Ekonomicznego**
ul. Ozimska 46, 45-058 Opole
- Biblioteka Wydziału Filologicznego**
pl. Kopernika 11, 45-040 Opole
- Biblioteka Wydziału Prawa i Administracji**
ul. Katowicka 87A, pok.2.17, 45-060 Opole
- Biblioteka Wydziału Przyrodniczo-Technicznego**
ul. Oleska 48, 45-365 Opole
- Biblioteka Wydziału Teologicznego**
ul. Drzymala 1A, 45-342 Opole
- Międzyinstytutowa Biblioteka Politologii, Filozofii i Socjologii**
ul. Katowicka 89, 45-061 Opole
- Międzyinstytutowa Biblioteka Pedagogiczna**
ul. Oleska 48, pok. 229, 45-052 Opole
- Biblioteka Instytutu Filologii Germańskiej**
pl. Staszica 1, gmach LO, pok. 105, 45-051 Opole
- Biblioteka Instytutu Psychologii**
pl. Staszica 1, gmach LO, pok. 203, 45-052 Opole
- Biblioteka Instytutu Sztuki**
ul. Wroclawska 4, pok. 1.02, 45-707 Opole

www.bg.uni.opole.pl

W przypadku przetrzymania książki, opłata za każdy dzień wynosi – 0,10 zł, a w przypadku książek wypożyczonych w ramach systemu wypożyczeń krótkoterminowych - 2,00 zł.

Dokładny cennik usług oraz regulamin i szczegółowe informacje dostępne na stronie: www.bg.uni.opole.pl.



„BAWIĆ SIĘ MUZYKĄ”

WYWIAD Z ZESPOŁEM „CHILLI”

Podobno potrafią gotować, słuchają każdego rodzaju muzyki – od electro przez jazz, aż po muzykę dla dzieci. Jeśli już grają jakiś koncert, to nie na byle jakiej imprezie. Zespół założony 14 lat temu przez Roberta Cichego, Marcina Śnigurowicza oraz Grzegorza Ziółę ma na swoim koncie wydaną płytę, występy przed Lennym Kravitzem czy podczas koncertu Debiutów na Krajowym Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu. Przed występem na Rock Opole opowiedzieli nam m. in. o tym, kto jest dla nich muzyczną inspiracją.

Jak ostre jest „Chilli”?

Robert Cichy: To zależy, bo są różne odmiany: Habanero, piri piri. Chilli nie jest najostrejsze, jest takie pomiędzy, ale daje kopa.

A w sensie muzycznym?

Cichy: To tak samo jak ta odmiana papryki – też jest ostra, ale jednocześnie smaczna. Uwielbiamy wszyscy gotować, kolega też jest kucharzem.

Marcin Śnigurowicz: Zależy jak dla kogo. Bo dla niektórych nasza muzyka jest bardzo ostra, a dla innych jest łagodna – dla „metali” jest łagodna, dla „popowców” za ostra. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

Mamy Chilli, ale w Waszym brzmieniu też są inne „przyprawy” – punk, hip-hop, rock. Lubicie łączyć te smaki?

Cichy: Jaramy się taką muzyką. To nie jest tylko tak, że mamy kłapki na oczach. W ogóle nasz zespół, nazwa się wzięła z tego, że przechodziło gdzieś wiele osób i zrobiliśmy jakiś cover. Chilli z tego się wzięło.

Lubimy i punka, i metal. Zapraszamy S-Mastera albo innych DJ-ów, żeby też trochę było skretchowania, hip-hopu. Na koncercie będzie też klimat disco polo (śmiej) W „Bejbe” spróbuję zaśpiewać z Zenonem, ale zależy to od atmosfery pod sceną – czy będzie więcej długich włosów czy okularków i solarium.

Wspomniałeś o genezie powstania zespołu. To już 14 lat od założenia kapeli. Czujecie się zatem doświadczonym zespołem?

Cichy: Pewnie tak, już jesteśmy starzy (śmiej przez łzy). Gramy jak gramy – był okres taki intensywniejszy, teraz jest okres trochę taki bardziej spokojny. Skupiamy się, żeby nową płytę wydać i pracujemy nad tym już trochę długo. Ale jednak to cały czas wygląda tak, że gramy, ciągle się spotykamy. To nie są impulsy, przebłyski, że mamy wyjść i zagrać.

Jednak dla Was „Chilli” to nie jest pełnoetatowa, jedyna sprawa. Gracie też w innych zespołach.

Cichy: No dokładnie. Każdy gdzieś tam ma swoje inne projekty. Cały czas działamy, rozwijamy się muzycznie w różnych miejscach, z różnymi ludźmi. Z tego powodu też czasami jest nam się ciężko spotkać, ale...dajemy radę.

Jak pogodzić te inne projekty z „Chilli”?

Cichy: Jak ostatnio pojechaliśmy do Anglii, to udało się nam zagrać dwa koncerty, więc jednak to jest tak, że w miarę zawsze udaje nam się znaleźć ten czas. To jest jednak ten nasz podstawowy zespół.

Śnigurowicz: To jest też tak, że te rzeczy to się nam dzieją „same z się”. Te koncerty, które nam wpadają od czasu do czasu, to one tak się wydarzają „po prostu”, bez naszej ingerencji w to. Że to się dzieje rzadko to jest inna para kaloszy, bo tutaj akurat jest winny brak menedżera – to pokazuje dlaczego nie mamy tak wielu tych koncertów. Też zawsze te koncerty, które gramy to nie są jakieś wydarzenia w pubie albo klubie, tylko jak gramy, to już jest prawdziwe święto muzyki. Albo gramy jakieś wielkie imprezy, albo wcale. To też jest dość ciekawe. Gramy na Woodstocku, czy w Anglii, czy przed Lennym Kravitzem, jakieś inne festiwale. Jest to z jednej strony średnie, że się widzimy tak rzadko, a z drugiej dobre, że jak się widzimy, to jest to takie nasze święto, w dobrych okolicznościach przyrody. Traktujemy to trochę jak takie spotkanie rodzinne w Wigilię – że się zjeżdżamy, opowiadamy to czy tamto.

Czy Waszym zdaniem nie jest trochę tak, że „Chilli” jest dla Was odskocznią od tego, co robicie w innych zespołach i muzykę, którą razem tutaj tworzycie, możecie robić tylko tutaj, bo gdzie indziej by to nie przeszło?

Cichy: Dokładnie. Odpowiedź jest prosta: tak. Czyli robimy to, co lubimy, a w innych zespołach gramy to, co trzeba grać. Taka jest różnica.

No to zatem „co lubicie”? Jakie są Wasze muzyczne inspiracje?

Cichy: Kult, Luxtorpeda, Organek (cały line-up Rock Opole – przyp. red.). Nie ściemniam, to są bandy, przed którymi występujemy i które naprawdę szanujemy. Są też dla nas niemałą inspiracją. A poza tym, to można by opowiadać i opowiadać. Jak ostatnio gdzieś wyjeżdżam to np. Roberta Johnsona słucham, blues, DJ-ów, jakieś elektro. Cały czas coś nowego przebija się do tych muzycznych inspiracji.

Śnigurowicz: Ja z kolei muzykę dla dzieci ostatnio cały czas. (śmiej) Wiąże się to z posiadaniem małej córki, ale to w naszym rozumieniu tak jest. Słuchamy wszystkiego niezależnie od tego co to jest, ważne, że jest to dobre – czy to jazz, rock, pop, heavy metal, czy cokolwiek by to nie było. Z wszystkiego czerpiemy, staramy się przynajmniej czerpać to, co najlepsze, dla nas.

Wymieniłeś cały line-up Rock Opole. Gracie jako pierwsi. Nie czujecie się trochę tak, że jesteście głównie supportem przed większymi zespołami, wykonawcami. Nie przeszkadza Wam to?

Cichy: No pewnie jeszcze nie zasłużyliśmy sobie, żeby grać jako gwiazdy wieczoru. No sorry, ale tak jest. Po prostu te wszystkie zespoły „po nas” grają od lat, są naprawdę na topie, częściej w mediach. Dla nas to jest wielki szacun i zaszczyt, że gramy na takich imprezach jak Rock Opole. Te dwie imprezy w mieście – Rock Opole oraz Hip-Hop Opole zamiata trochę ten syf wokół tego festiwalu. Jest świetnie, że tak jak dziś – gramy u siebie w Opolu, gramy swoją muzykę, niepodporządkowaną żadnym mediom i politykom. Naprawdę się cieszę z tego i nie przeszkadza mi to, że jesteśmy jakimś supportem. W zasadzie to dziś nie ma żadnych supportów – są po prostu cztery równe kapele i tyle.

Mówimy o tych gwiazdach – z kilkoma też współpracujecie, kilka znalazło się na Waszej płycie. Czujecie się dobrze współpracując muzykę z lepiej znaną Wam gwiazdą?

Cichy: Wiadomo, to w końcu też jest jakaś inspiracja, rozwój. Warto się nie ograniczać, a rozwijać. To tyle.

Mówię cały czas „gwiazdy, gwiazdy”. A Wy gwiazdami się raczej nie czujecie, a może przeciwnie – jakąś niszą? Jak byście mogli to określić?

Cichy: Normalnie. Jesteśmy normalnymi ludźmi. A pewnie gwiazdy, jeśli mówisz im o gwiazdach, to też uważają, że są normalnymi ludźmi. I pewnie tak jest. Tylko ludzie, którzy zadają im takie pytania, oczywiście z całym szacunkiem do Ciebie, tak ich określają. To są normalni ludzie, którzy muszą wstawać rano, mają dzieci i muszą pracować.

Może nie kwestia gwiazdy i normalności, a popularności.

Cichy: To jest już jednak nadane przez odbiorców, słuchaczy, a nie przez nich samych. Choć są oczywiście takie osoby, które tylko żyją z tego, że się pokazują na ściankach, na promocji nowego długopisu i są wszędzie na Pudelku, na tych wszystkich mediach społecznościowych i wtedy to już jest taka gwiazda – znana z tego, że jest znana.

Celebrytoza się to nazywa.

Cichy: O właśnie. Dzięki.

Wracając na ziemię – a dokładnie opolską – to Wy jako ludzie z Opola, stąd, jakbyście określili ten opolski rynek muzyczny?

Cichy: Kurcze, nie wiem co tu się dzieje dalej. Z Opola to kojarzę Jareckiego i BRK...tylko (śmiej). Nie mam pojęcia co tu jeszcze jest, mieszkam w Warszawie od 14 lat i zbytnio nie orientuję się już co tutaj się dzieje.

Śnigurowicz: Ja nawet sam nie mam pojęcia.

Właśnie wymyślając to pytanie tak się zastanawiałem czy nie następuje taki proces, o którym też powiedziałeś. Że są zespoły, ludzie z Opola, których jednak później wchłonie ta Warszawa, inne miasta, a tutaj nic później nie pozostaje.

Cichy: Wchłania ich to, wyjeżdżają, bo jednak tam mają większą możliwość rozwoju.

Śnigurowicz: Nie oszukujmy się. Dla muzyków Warszawa czy Wrocław to są miasta, jeśli chodzi przynajmniej o kulturę, bardziej rozwinięte niż Opole. Jest tam więcej szans, żeby wejść i zaistnieć. A nawet jeśli nie zaistnieć, to po prostu pracować, robić to, co się lubi. W Opolu nie ma takiej szansy, bo oprócz NCPP, które organizuje ciągle koncerty, to nie ma nic innego. Dla zespołu takiego jak my, to nie możemy grać co tydzień w NCPP, a w Warszawie to jest sto tysięcy knajp, gdzie moglibyśmy zagrać. W Opolu są może cztery knajpy, a muzyki to już chyba nie ma nigdzie. Poza imprezami organizowanymi przez miasto, tak jak Dni Opola czy festiwal, to niewiele się odbywa i muzyk tutaj mieszkając i chcąc zarabiać, żyć z tej muzyki ma tu naprawdę ciężko.

Jest ciężko, natomiast Wasza muzyka, a raczej jej odbiór taki nie jest. Dużo śmiechu, ironii, szaleństwa, spontaniczności. Traktujecie muzykę z przymrużeniem oka czy jako bardzo poważną sprawę?

Cichy: Lubimy się śmiać, jesteśmy wariatami i to jest fajne, że możemy do tego nawiązać. Mamy też dużo kawałków poważnych, ale jakaś połowa jednak jest prześmiewcza, bo uwielbiamy bawić się tą muzyką, a nie tylko tworzyć tam jakieś suche rzeczy.

Śnigurowicz: Bawić się nią, różnymi tematami się bawić. Też autoironicznie do tego podchodzimy, bo śmiejemy się sami z siebie.

Chciałem jeszcze zapytać na koniec o drugą płytę. Pierwsza wydana już ponad 8 lat temu. Teraz w końcu przyszedł czas na coś nowego, jednak czy przyjdą jakieś zmiany w brzmieniu?

Cichy: Na debiutanckim albumie zaprosiliśmy dużo artystów typu Paulina Przybysz, DJ S-Master, Ania Dąbrowska. A teraz na tej płycie jesteśmy tylko my, w trójkę i dalej ciągniemy ten sam temat. Jest dużo śmiesznych numerów. Nie będzie jakiś radykalnych zmian. Raczej dalej taka surowizna jak była.

TEKST: MAREK WIENCH

PRYZSTANEK WOODSTOCK

KAŻDY MA TO, CZEGO SZUKA



fot. Monika Sobczak

Przystanek Woodstock, największy darmowy festiwal muzyczny w Polsce i jeden z największych w Europie, to bez wątpienia wydarzenie kontrowersyjne, wokół którego narosło wiele mitów i stereotypów. Zwolennicy festiwalu podkreślają jego niesamowitą, przyjazną atmosferę wolności, przyjaźni, równości, tolerancji pomiędzy wszystkimi subkulturami. Przeciwnicy wytykają przede wszystkim kiepskie warunki sanitarne, podnoszony od wielu lat jest także argument, że darmowe imprezy przyciągają tzw. „motłoch”, a wśród środowisk skrajnie konserwatywnych pojawiają się nawet słowa o satanistycznym charakterze imprezy. Czym w takim razie naprawdę jest Przystanek Woodstock?

Wydarzenie jest organizowane w Polsce do 1994 roku – pomyślane zostało jako podziękowanie wolontariuszom WOŚP pomagającym w zimowej zbiórce pieniędzy. Nazwa została zaczerpnięta od amerykańskiego festiwalu Woodstock Music and Art Fair, który odbył się w sierpniu 1969 w Bethel koło Nowego Jorku. Amerykański Woodstock wyrósł na gruncie buntowniczego, kontestacyjnego ruchu hippisowskiego, który opanował Europę Zachodnią i Amerykę w latach 60. XX wieku. Do niego też bezpośrednio nawiązuje polski odpowiednik.

Z samą ideą festiwalu można się zgadzać lub nie, ale trzeba przyznać, że jest to jedno z tych wydarzeń, które otwiera na świat, jeżeli oczywiście odpowiednio się z niego korzysta. Woodstock, oprócz słynnego błota, które zajmuje może pięć procent powierzchni festiwalu, to również setki ciekawych warsztatów, prelekcji, spotkań, no i oczywiście koncerty, których nie tylko ilość, ale i różnorodność gatunkowa co roku pozytywnie zaskakuje. Na Woodstocku charakterystyczny jest brak dystansu międzyludzkiego – ludzie różnych ras, wyznań i narodowości współdziałają, bawią się wspólnie. Zupełnie nie liczą się różnice polityczne czy historyczne, bo festiwal ten w założeniu ma łączyć, a nie dzielić. W Kostrzynie nad Odrą przez trzy dni bawią się wspólnie fani muzyki reggae, różnych odmian rocka, punka czy metalu. Ważne jest to, że żadna grupa i żaden gatunek muzyczny nie są faworyzowane.

Woodstock to według mnie świetna okazja do poszerzania horyzontów muzycznych, kulturowych, myślowych dla młodych ludzi, ale nie tylko – to również nauka wzajemnej akceptacji, poszanowania dla drugiego człowieka. Wszystkich woodstockowiczów jednoczy pozytywna energia, wzajemny szacunek i empatia, choć naturalnym jest, że i od tej reguły zdarzają się negatywne wyjątki. Tylko na Woodstocku uświadczysz sytuacji, kiedy podchodzi do Ciebie zielonowłosa punk i przybija piątkę. W normalnych warunkach na ulicy jednego z polskich miast ktoś powiedziałaby: „ale obrzydliwy”. Właśnie za to kocham Woodstock: za nieocenianie ludzi po wyglądzie, za pozytywną energię i przekaz na cały rok!

Co łączy tak różnych od siebie woodstockowiczów? Oprócz otwartości i zamiłowania do dobrej muzyki jest jeszcze coś. Na Woodstocku

poprzez uczestnictwo w wykładach i prelekcjach znanych publicystów czy dziennikarzy wiele można się dowiedzieć, sporo nauczyć, wyrobić sobie opinię na dany temat. Warto w tych spotkaniach brać udział. Dzięki nim młodzi ludzie mogą poczuć się częścią społeczeństwa obywatelskiego, zaspokajając tym samym tak ważną potrzebę identyfikacji, i jest to zjawisko w pełni pozytywne. Pamiętajmy również, że Przystanek Woodstock to wydarzenie organizowane przez Polaków dla Polaków, które powinno być naszym powodem do dumy, a nie przedmiotem sporów.

W ciągu tych kilku dni spędzonych w Kostrzynie nad Odrą nie da się być na każdym zaplanowanym koncercie, na wszystkich interesujących warsztatach, wydarzeniach towarzyszących. Wir festiwalowych wydarzeń porywa nas. Często znajdujemy się w miejscach czy na koncertach, na których wcale nie planowaliśmy być, a które nierzadko okazują się lepsze od tych, na które z utęsknieniem czekaliśmy. Czy nie o to właśnie chodzi? Tam po prostu trzeba być i przeżywać to na swój sposób.

Na Przystanku Woodstock możemy wziąć udział w bardzo wielu przeróżnych wydarzeniach – od warsztatów z medytacji czy samorozwoju, poprzez czytanie słowiańskich baśni, po wspinanie się na ściankę. Każdy może wybrać coś dla siebie. Równie szeroki jest wachlarz ludzi, których można tam spotkać, od wymalowanych 16-latek ładujących telefony w Strefie Play przez większość pobytu, po tzw. starych woodstockowiczów pamiętających pierwsze edycje festiwalu czy nawet festiwal w Jarocinie. Miejsce, które daje nam taką różnorodność przeróżnych zajęć zmusza nas do dokonywania wyborów, jak i z kim chcemy spędzić czas. Myślę, że każdy powinien znaleźć swój własny, indywidualny sposób przeżywania festiwalu, bo każdy wynosi z Woodstocku takie wrażenia, jakich tam szuka. Robiąc bilans zysków i strat już po raz czwarty, wiem, że po raz kolejny tych pierwszych jest więcej niż tych drugich. Myślę, że warto wierzyć w siłę tego festiwalu, jego przekaz i przede wszystkim w tworzących go ludzi. Moim zdaniem każdy młody człowiek powinien chociaż raz pojechać na Woodstock, by nauczyć się tego, o czym obecnie zdarza nam się zapominać: tolerancji i poszanowania dla odmienności.

TEKST: KAROLINA BIEDKA

CZY KTOŚ TO PRZECZYTA?

Istnieje możliwość, że piszę te słowa na próżno. Nikt ich nie ujrzy, bo wszyscy będą martwi. W sieci i prasie zaczyna pojawiać się coraz więcej informacji na temat rychło zbliżającego się końca świata. Data apokalipsy została wyznaczona na 23. września. Zdaje się jednak, że tym razem media nie nagłaśniają sprawy na tak ogromną skalę, jak w przypadku roku milenijnego, czy 21 XI 2012.

Być może właśnie po tej niespełnionej przepowiedni sprzed lat, podniecenie wynikające z domniemanego końca ziemskiej egzystencji nieco przygasło. Nie powstała jeszcze żadna kasowa ekranizacja, przedstawiająca wyobrażenie nadchodzącego incydentu, nie słyszymy o wyznawcach sekt chowających się w bunkrach, czy popełniających samobójstwa, tak jak miało to miejsce kilka lat temu. Prawdopodobnie i tym razem skończy się na chwili strachu. Ludzie wierzący w przepowiednie wstrzymają oddech, będą lekko poddenerwowani, ale gdy przeminie spodziewany sądny dzień, trąby jerychońskie nie wybrzmia, a czterej jeźdźcy "Apokalipsy" nie pojawią się w wyznaczonym czasie, wszyscy wrócimy do naszych codziennych obowiązków. Badacze, reprezentujący różne dziedziny nauki, od lat prowadzą dyskusje na temat kolejnych nieziszczonych makabrycznych przepowiedni. Konkretnie układy planetarne, zbieżność dat i liczb, proroctwa biblijne oraz świeckie, starożytne źródła Majów czy ludów mezopotamskich - to wszystko rozpala ludzką wyobraźnię od wieków. Naturalne parcie do zgłębiania mrocznych tajemnic, fascynacja tym, co jest przez człowieka nieosiągalne i niemożliwe do opanowania, stale prowadzi do powstawania nowych teorii. Symboliczne wyobrażenia dnia ostatecznego łatwo zapadają w pamięć, a lęk przed karą za popełnione winy potęguje demonizację tego wydarzenia. Możliwe, że niebawem dojdzie do ostatecznego starcia pomiędzy Antychrystem i Bogiem, w Ziemię uderzy planeta Nibiru lub asteroida,



wchłonnie nas czarna dziura, bądź zaatakują obca cywilizacja. A może jednak zatriumfuje nasza autodestruktywność i wykończymy się sami, bez ingerencji nadprzyrodzonych bytów czy ciał niebieskich? W zasadzie każdy scenariusz brzmi beznadziejnie. Teorii jest tak samo wiele jak wyznających je osób. Mimo tego mam nadzieję, że nie dopełniałicie swego żywota i czytacie ten tekst. Skoro tli się w nas nadal resztką życia, powinniście o nie zadbać. Pomimo jesiennej dekadencjonalnej atmosfery, stańcie do codziennej walki. Bo chyba jednak nie da się przewidzieć, kiedy nastąpi koniec.

TEKST: JAKUB FILIPKOWSKI

MUZEUM BRZYDOTY

Moje ciało spoczywające na wysuszonej trawie ogrzewa słońce. Gdzieś w tle Kora śpiewa o wymarzonych wakacjach w Buenos Aires albo w Europie. Niczym się nie martwię, bo pan Krzysiek przyjął nas na pole namiotowe za grosze i kopcąc taniego papierosa wytłumaczył przebieg pieszego szlaku, który planowaliśmy pokonać. Gdzieś w oddali widzimy baner reklamujący wojskową grochówkę. Wieczorem sąsiad Bartek rozkręca imprezę. Składany stolik, parę litrów wódki i trzy małżeństwa.

To nie mogło się skończyć inaczej – gospodarz przekrzykuje się ze swoją żoną Gosią. On jej kiedyś nie wybaczył, ona go potem nie podwoziła. Bartek jest bliski płaczu. Uderza dłonią w stół i odchodzi na bok. Wszyscy inni milczą. Wściekły małżonek uświadamia sobie, że tu nie ma uciezki. Pole namiotowe obłożone jest gęsto cokołem z domków wczasowych. Wraca do stolika i bez słowa polewa wódkę. Po trzech głębszych nikt już nie pamięta tej wściekłości i oburzenia. Mamy wakacje.

Letnia Akademia Filmowa. Dzieło skandynawskiego reżysera wyświetlane w sali gimnastycznej. Wysokobudżetowa, wyjątkowo nieudana produkcja o The Rolling Stones na ścianie browaru. Wokół kręcą się artyści, krytycy, pijacy i imprezowicze. Mieszają się światy. Ich nieuchronna potyczka kończy się remisem. Wszyscy są takimi samymi ludźmi.

Jestem przedstawicielem pokolenia, które nie pamięta Gierka ani Jaruzelskiego. Pamięta jednak mgliście końcówkę lat dziewięćdziesiątych – zachwyty różnorodnością i kiczowate powielanie idealizowanych zachodnich wzorców. Pamiętam swoje dzieciństwo – odrapane elewacje, ulice wysypane szlaką i wszędobylską brzydotę. Dzisiaj podążam do źródeł współczesnego istnienia mojego miasta. Hutnicze ruiny nęcą mnie swoim chłodnym powabem. W sklepie rybnym uśmiecha się

pani w niebieskim fartuchu w białe grochy. Między sklepami wielkich korporacji ma swój sklep Mirek – serwisant telewizorów CRT i elektryk.

Nasz kraj ładnieje, choć zalewa nas pastelozą i brak gustu. Niewątpliwie jednak obracamy się w dużo bardziej estetycznym otoczeniu niż przed laty. Wielu z nas potrafi jednak nadal spojrzeć na stary sklep monopolowy, reklamowany różowym neonem, oznajmującym dumnie nazwę „Nocny”, z wielkim uwielbieniem.

Kiedy byliśmy dziećmi, to wszystko wydawało się szare. Być może dziś, kiedy uroda remontowanych i nowych obiektów jest praktycznie zunifikowana, lubimy te miejsca za ich wyjątkowość. Przeszość zwykle wydaje się lepsza. Prawdopodobnie w momencie, kiedy wizualny aspekt naszego otoczenia się poprawił, zaczęliśmy dostrzegać, że niektóre miejsca nie dogoniły tych nowych. Kojarzą nam się one nie tylko z latami sielanki, lecz także z interesującymi z różnych względów czasami, których nie mieliśmy prawa pamiętać, a które barwnie malował nam słowami Kaczmarek z Gintrowskim, czy pokazywał Bareja i Ślesicki. Nie znamy ich, ale słyszeliśmy ich echa. Dziś w innym kontekście zastajemy zabytki tamtych lat. W czasach, gdy zmienia się wszystko, nieważne, jak bardzo chcielibyśmy temu zaprzeczać, pozostają wciąż jako swoiste artefakty. Ekspozaty z muzeum brzydoty.

SERCE WALECZNE DO KOŃCA

„Braveheart – Waleczne Serce” to nie jest zwykły film historyczny. To nie jest zwykła produkcja, zrealizowana przez zwykłego reżysera. I co najważniejsze... to nie jest film, który nie zapadnie Ci w pamięci. Jest to produkcja wyjątkowa, zrealizowana z wielką klasą oraz niosąca za sobą trzygodzinną dawkę mocnych i wzruszających przeżyć. Ten film bez wątpienia można zaliczyć do tych z nutką refleksji, które na przestrzeni lat silnie zakorzeniają się w naszej podświadomości. Nie bez powodu ten film zyskał sławę na całym świecie... a ja Wam pokażę, dlaczego.

Film „Braveheart – Waleczne Serce” w reżyserii Mela Gibsona powstał w 1995 roku. Jest to dramat historyczny, opowiadający o walce Szkotów o niepodległość. Głównym bohaterem produkcji jest William Wallace (Mel Gibson), który w dzieciństwie przeżył traumę, tracąc rodziców. Po kilkunastu latach na tronie Anglii zasiada Edward I, który zaczyna nakładać represje na Szkotów. Przykładem jest tzw. „prawo pierwszej nocy”, według którego możnowładcy mogą odebrać żonę chłopu na pierwszą noc po ślubie. To prawo bezpośrednio dotknęło także głównego bohatera, który potajemnie poślubił Murrone. Anglicy usiłują zgwałcić jego żonę, zaś napotykając opór z jej strony postanawiają ją zabić. William daje upust swoim emocjom i złości poprzez zabicie oprawców, co spotyka się z uradowaniem mieszkańców wioski dla których staje się bohaterem, symbolem walki z oprawcami o wolność.

Jak wcześniej wspomniałem, film oparty jest na faktach, ale nie jest ich więzieniem. Mimo, iż film trwa ponad trzy godziny, nawet na chwilę nie daje się zanudzić, natomiast sama fabuła jest opowiedziana w ciekawy i prosty sposób, przez co odbiorca nie powinien mieć problemów z polapaniem się z biegiem filmu. Ważnymi aspektami filmu są bardzo dobrze przemyślane wydarzenia. Przeplatane sukcesami, momentami zwątpienia, porażkami, a nawet wstrząsającymi momentami. W analizie tego filmu nie można pominąć elementów stricte technicznych. Muzyka jest oparta głównie na motywach szkockich. Podkreśla znaczenie każdej sceny w filmie dopasowując się do danej sytuacji. Nie bez powodu jest określana jako jedna z najlepszych w historii światowego kina. Do scenografii także nie można się przycześć. Warownie drewniane oraz kamienne, tak jak ich wnętrza, prezentują



się okazać. Jednak mimo wszystko nic nie przebije pięknego uchwycenia krajozobrazu – głównie lasów i gór.

Jakie jest przesłanie tej produkcji? Nie ma wątpliwości że film zalicza się do tych z tytułu „na pokrzepienie serc”. Kluczowa jednak jest idea wolności o którą walczy Wallace. Film ukazuje również odwagę, determinację oraz oddanie głównego bohatera. To, jak ważną postacią był dla Szkotów, pokazują ostatnie sceny filmu, w których widać, że jego idee oraz nauki nie poszły w las, nawet po śmierci.

Podsumowanie może być tylko jedno. Film „Braveheart – waleczne serce” bez wątpienia można przypisać do skromnego grona filmowych arcydzieł. A czego nas uczy przede wszystkim?

Że wolność jest dla każdego i że żadna siła nie jest w stanie nam jej zabrać...

TEKST: MICHAŁ PERLIK

TYLKO RAZEM Z CÓRKĄ

Zawsze, w swoich powrotach do filmów, staram nie pisać się tylko zwykłej oceny, ale poprzez recenzję dać pretekst do tego, aby poruszyć ważny temat. Tak jest i tym razem.

Amerykanka Betty (w tej roli Sally Field) żyje w szczęśliwym małżeństwie z Irańczykiem, Moodym (Alfred Molina). Wkrótce na świat przychodzi ich córka – Mahtob. Moody jest aktywnym i empatycznym lekarzem, jednak poprzez swe pochodzenie, ciągle czuje się w Ameryce obco, inni koledzy z oddziału nie chcą się z nim zaprzyjaźnić. Kiedy mała Mahtob ma około 6 lat, Moody proponuje żonie wspólny, dwutygodniowy wyjazd do Iranu, do jego muzułmańskiej rodziny. Betty, na początku nastawiona bardzo sceptycznie, w końcu zgadza się wyjechać. Nie wie jeszcze, że za chwilę będzie zmuszona przeżyć prawdopodobnie najtrudniejsze miesiące swojego życia.

Kiedy rodzina tylko przekracza granicę Iranu, Moody zaczyna stopniowo się zmieniać. Na początku jest jeszcze wyrozumiały dla żony i córki, jednak z czasem odkrywa przed nimi zupełnie inną twarz – agresora i tyrana, manipulowanego przez swą muzułmańską rodzinę..

Dwutygodniowy wyjazd wcale nie kończy się po kilkunastu dniach, ponieważ Moody oświadcza żonie, że nie zamierza wracać do Ameryki. Terroryzuje żonę i córkę zamykając je w domu. Nie pozwala Betty rozmawiać z kimkolwiek z rodzinnego kraju. Zmusza żonę do noszenia burki. W końcu, za każde w jego mniemaniu nieposłuszeństwo, którym

jest na przykład kilkuminutowe spóźnienie do domu zaczyna ją bić, wykrzykując, że jest jego żoną i ma robić to, co on każe. Betty rozumie, że są z córeczką całkiem same w kraju którego kultury i obyczajów nie rozumieją, i w którym jako obywatelki, bez mężczyzny u boku, nic nie znaczą. Kobieta postanawia uciec z Iranu, ale pod jednym warunkiem. Tylko razem z córką.

Mimo, że filmowi Briana Gilberta można wiele zarzucić, uważam, iż ta produkcja idealnie podkreśla wiele aspektów psychologicznych: przemiany Moodyego, więzi rodzinnych w muzułmańskiej kulturze, obyczajów i kultury Iranu. Obraz idealnie oddaje różnice (pod i praktycznie każdym względem) pomiędzy cywilizacją wschodu i zachodu. Jeśli ktoś dalej uparcie wierzy, że te dwa aspekty – bycie aktywnym muzułmaninem i życie według nowoczesnych wzorców zachodu - można połączyć, to ten film jest na to odpowiedzią. Świat Allaha, który mężczyznom daje wszelkie prawa i wszystko wybacza, a kobietę może ukarać za wystający jeden włos spod chusty, jest okrutny i przerażający.

Warto dodać, że historia Betty, o której opowiada film Gilberta wydarzyła się naprawdę.

TEKST: JAKUB SŁABY



fot. K. Ścisłowicz, Teatr im. Jana Kochanowskiego

DULSKA NA SALONACH

Ten tekst ma w sobie coś takiego, że gdy go czytam lub słyszę, mam ciarki na plecach.

„Moralność Pani Dulskiej” była jedną z najbardziej wyczekiwanych przeze mnie premier. Ciekawiła tym bardziej, że pracy nad tekstem podjął się zagraniczny reżyser – Giovanni Castellanos. Jak ocenił nasze społeczeństwo? Trafnie...

„Gdyby pani była umarła...no!” Jak bardzo trzeba być bezdusznym, aby wypowiedzieć do kogoś te słowa? Jak nie-moralnym? Oczywiście wypowiada je Aniela Dulska, która pojęcie moralności nagina dla własnych potrzeb. Scena, gdy główna bohaterka, w tej roli Arleta Los-Pławszewska, wykłada swoje zasady niedoszłej samobójczynie, jest jedną z najlepszych scen, jakie oglądałam na deskach opolskiego teatru. Sztwyne manieri, pod którymi ukrywa się chęć panowania nad wszystkim, co nas otacza. Pokaz, gra, jaką na co dzień prowadzi się z innymi.

„Na to mamy cztery ściany i sufit, aby brudy swoje prać w domu i aby nikt o nich nie wiedział”. Spektakl w każdej minucie obnaża dwulicowość człowieka. Mamy do czynienia z tekstem okresu Młodej Polski, wszystko na scenie mówi nam, że będzie to odegranie dramatu Zapolskiej. Ale subtelne aluzje reżysera pozwalają zorientować się, że dzisiaj też gramy naszą codziennością, pokazujemy siebie z takiej strony, z jakiej chcielibyśmy, by nas znali. Delikatnie, ale bardzo wymownie pokazał Castellanos, że ‘pranie brudów w swoim domu’ jest nieodłącznym elementem codzienności każdego z nas.

Walka z wiatrakami. Lubimy Zbyszka, lubimy fakt, że chce wyrwać się spod skrzydeł swojej kołtuńskiej matki. Doceniamy, że widzi, jak bardzo jest zepsuta jego rodzina, ale... Także razem z nim nie mamy

złudnych nadziei, że to się uda. Śmiejemy się, gdy rozhisteryzowany Zbyszko wykrzykuje hasła o walce z wiatrakami. Ale po chwili ten uśmiech znika z naszej twarzy, zastępuje go smutek. I refleksja nad naszym kołtuństwem.

Jak nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Wiedziała o tym Dulska, wiem o tym ja i wiesz o tym Ty, czytelniku. Jest w spektaklu scena, gdy właśnie wśród czterech ścian rozgrywa się istny huragan, gdy bohaterowie krzyczą, biegają. Ta dynamika udziela się widzom, jest porażająca. Hanka ucieka, Zbyszko ją goni, Hesia i Mela cieszą się, bo w domu wreszcie nie jest nudno, a Aniela Dulska załamuje ręce nad zgubionym chwilowo ładem. Tak szybkie tempo gry, dynamika i energia płynęła ze sceny Kochanowskiego tylko w spektaklu „Bez znieczulenia” (także z Małej Sceny!). Szybko, szybciej... aby zaraz zwolnić. Ile potrzeba, aby odzyskać spokój? Zaledwie 14 tysięcy.

„Bój się Boga”. Fenomenalny komizm sytuacji. Obicie krzesła z wizerunkiem Matki Boskiej i w tle nasza moralna Aniela. Czy tylko mnie wydaje się, że znamy więcej takich osób? Chcecie wiedzieć, jak czuje się widz, gdy idzie do teatru i widzi tam sytuacje ze swojego codziennego życia? Jest mu wstyd. Bo widownia reagowała bardzo żywo, prowadziła swojego rodzaju dialog z aktorami, ale chyba celem tego spektaklu było to, aby każdy przeprowadził dialog ze sobą. Okazało się, że tekst Zapolskiej jest niebezpiecznie aktualny, że każdy to dostrzeżga, że każdy łapie się na swoim cichym śmiechu przez łzy.

„A niech was wszyscy diabli!”. Bo wszyscy jesteśmy Dulskimi.

TEKST: KINGA OPOLONY



CZASEM, GDY BĘDIEMY CIERPLIWI MOŻEMY ZOBACZYĆ RZECZY NIEPOWIERZCHOWNE. NA PRZYKŁAD GDY PRZEKROIMY KAMIEŃ. FOT. MAREK WIENCH

KOLEJNE ŚWIATŁO

**W tamtym pożegnaniu
Nie było krwi
Nie było alibi**

Ale czy to w ogóle było pożegnanie? Czy miało być? Pewne jest, że ktoś już odleciał – i niestety okazał się to ktoś znacznie ważniejszy ode mnie... Zastanawiam się dlaczego to ja nie odleciałem – tak jak pisałem – tam gdzie miałem...Mnie chyba po prostu za dużo trzymało w miejscu, w którym zostałem...zostaję. Tę osobę tak samo – a jednak wybrała odwrotnie. Największym paradoksem jest, że spotkaliśmy się – my, którzy porzucaliśmy swe nawyki i nałogi całe życie – w miejscu, mieście, do którego ja miałem właśnie odlecieć.

Dziwny ten wstęp, co?

No bo jakże dziwnie – jednocześnie źle i dobrze – pisze się ten pierwszy tekst w nowym roku akademickim. Bo skoro mam tu też spełniać funkcję informacyjną – choć nie muszę...ale czasem chcę – to jak to zrobić, gdy kompletnie nic się nie dzieje na uczelni? Oczywiście pewne głosy odezwią się, że dzieło – że Medycyny wybudowali, że były koncerty na Wzgórzu Uniwersyteckim, że to czy tamto. I okej. Ale do felietonu, nomen omen sportowego, to tak średnio bym powiedział, tak średnio.

Średnio w sporcie, to po co o nim pisać? Mniej średnio jest za to – można by to również określić sportem, nomen omen, NARODOWYM – grzybobranie. Polacy i grzyby to związek doskonały. Ciężkostrawne, dziwne stworzenia zamieszkujące i rozmnażające się po lasach idealnie komponujące się z alkoholem. Te grzyby jak ten naród nasz. Każdy inny. Każdy ma swoje racje i właściwości – niektórzy trujące. Ale też ta heterogeniczność jakże piękna jest! Gdzie pomimo tej powierzchniowej brzydoty, szarości, krzywości odkryć można w każdym urodę. Urodę urodzaju, urodę sedna. Gdzie też paradoksów zatrzęsienie. Gdzie te najpiękniej wyglądające są jednocześnie najbardziej śmiercionośne – dwulicowości. Gdzie te najbrzydsze są...zjadliwe. Gdzie te najbardziej pospolite są „pod”, a te najprawdziwsze są pożądaną rzadkością. Takie to wszystko polskie. No, ale...w domu otrutego nie mówi się o muchomorach.

Jakież moje wakacje były niewiarygodne! Bo otóż czy uwierzycie, że wytrzymałem ponad miesiąc bez Facebooka? Czy uwierzycie Wy, którzy często nie potraficie już wytrzymać choćby godziny czy dnia? Wy, chorzy na syndrom FOMO. Wątpię... Wy też możecie tego dokonać, ale mnie się udało. Zasadniczo to wytrzymałem, a raczej udało mi się dzielnie odciąć od wszelkich mediów. Cóż za paradoks, skoro sam je tworzę! Zero radia, telewizji, gazet, internetu. No i wszystko byłoby cacy, gdyby nie te reklamy, które można już zobaczyć praktycznie wszędzie – przy sklepowej kasie, na autobusowym uchwycie, na prądotwórczym wiatrak, na stertach drewna w lesie (!) czy dżungli (!!!), gdzie reklamują się tartaki czy inne firmy zajmujące się obróbką drzew czy jakichś innych szyszek.

Ale no właśnie. Reklamy. Mówią nam co mamy kupić, co mamy zrobić, co mamy w danej chwili pomyśleć. A Ty? Ty, studencie pierwszego roku! ŚwieŻAKU! – wiesz co masz robić? Teraz, jutro, podczas sesji, na imprezie, w swoim życiu...? Jeśli tak, to cudownie. Startujesz z niezłym handicapem. Ale jeśli nie masz kompletnie pojęcia, co Ty tu zasadniczo robisz, to taka mała rada dla Ciebie – ot co, farmazon od „starszego” kolegi, który z niejednego lasu grzyby jadł. W szkole się uczyłeś, na studiach studiujesz. To diametralna różnica. Nauka była i jest, nawet prawnie, obowiązkowa. Studiowanie absolutnie nie. Tutaj już nic nie musisz. Za to możesz naprawdę wiele. No i puenta tej rady i całego tekstu niech będzie takowa – Markowa – „Żebyś nie musiał, a mógł. Żebyś potrafił i chciał (potrafić).”

...w końcu napisać felieton o niczym też trzeba umieć. Ale lepsze nic niż rydz.

TEKST: MAREK WIENCH